

# Rodzina Ulmów z Markowej

<https://rodzinaulmow.ipn.gov.pl/ulm/publikacje-o-ulmach/wywiady/20775,Heroizm-przezwydzyl-lek.html>  
21.05.2024, 08:07

## Heroizm przezwyciężył lęk

Z Mateuszem Szpytmą,  
wiceprezesem Instytutu Pamięci  
Narodowej, rozmawia Jan M.  
Ruman

Jaka była i jak zmieniała się sytuacja Żydów w czasie okupacji? Początkowo zdarzało się, że większe represje spotykały Polaków niż Żydów. Znam takie sytuacje, że łączniczka polskiego podziemia, jak miała przenieść ważną informację, to zakładała opaskę z gwiazdą Dawida. Dlaczego? - bo w łapankach nie zatrzymywano Żydów, tylko Polaków, których wywożono na roboty.

To nie takie proste. Sytuacja Żydów bardzo się zmieniała podczas okupacji niemieckiej. Natomiast już od początku inne były plany wobec Polaków, inne wobec Żydów, chociaż - szczególnie wobec tych ostatnich - jeszcze nie do końca sprecyzowane. Początkowo na Żydach Niemcy wyładowywali nienawiść: płonęły synagogi, ośmieszano ich i bito, obcinano im publicznie brody. Dość szybko pojawiły się również zarządzenia eliminujące ich z życia gospodarczego, ograniczające swobody, np. zakazywano Żydom podróżowania koleją czy nie mogli pojawiać się w określonych częściach miasta, np. w Krakowie w obrębie Plant i Starego Miasta. Ale rzeczywiście Żydzi zwykle nie padali ofiarami łapanek celem wywiezienia na roboty do Niemiec. Żydów nie wywożono, więc jeśli ktoś miał opaskę, to go zwalniano, ponieważ wobec tego narodu były inne plany, które zamierzano realizować na miejscu. Z drugiej strony na osoby narodowości żydowskiej organizowano łapanki, których celem było wykorzystanie żydowskiej siły roboczej na miejscu. Początkowo akcje te miały charakter niezorganizowany. Jeśli chodzi o Polaków, to od chwili wejścia na nasz teren Niemcy rozpoczęli szereg represji które miały na celu fizyczną eliminację elity przywódczej naszego narodu. Tak jak w

Palmirach, które były częścią akcji AB, a ta z kolei była kontynuacją Intelligenzaktion. Oczywiście część z tych ofiar było też zasymilowanymi w dużej mierze Żydami. Pamiętajmy również, że pierwszymi ofiarami Auschwitz - obozu dla więźniów politycznych, zorganizowanego wiosną 1940 r. - byli Polacy.

Wracając do sytuacji Żydów, początkowo Niemcy rzeczywiście nie wiedzieli, co z nimi zrobić. Pojawiały się plany utworzenia rezerwatu dla Żydów, jednak pomysł ten zarzucono. Jednym z jego organizatorów był Adolf Eichmann. Kolejna koncepcja zakładała koncentrację Żydów w Generalnym Gubernatorstwie, co spowodowało falę ich wysiedleń z terenów wcielonych do Rzeszy. Dopiero w 1941 r. zdecydowano się na zasadniczą zmianę działania. Odtąd celem władz Rzeszy Niemieckiej stało się wymordowanie wszystkich europejskich Żydów i było to realizowane tam, gdzie sięgały jej wpływy.

Kiedy narastają represje wobec ludności żydowskiej, rosną też różne formy pomocy ze strony Polaków. Wydaje się, że były różnice pomiędzy tymi formami pomocy na wsiach i w miastach. W mieście łatwiej się ukryć, znaleźć lokum, łatwiej przenieść się z jednego miejsca do drugiego. Warszawa była wielkim miastem, można było pozostać anonimowym. Jeżeli Żyd miał tzw. dobry wygląd, to znacznie łatwiej było go ukryć. Inaczej sytuacja przedstawiała się na wsi, gdzie społeczności są mniejsze i wszyscy się znają. Widać, co się dzieje w gospodarstwie, jeżeli ktoś przechowuje grupę Żydów - są takie przypadki, np. rodzina Koźmińskich ukrywała Żydów. Najpierw w Warszawie, potem jak liczba ukrywanych doszła do 23, to już pod Warszawą. Ta rodzina, żyjąc przy takim wielkim ośrodku jak Warszawa, mogła troszczyć się o zaopatrzenie. Na wsi jest inaczej, jeżeli ktoś kupuje więcej jedzenia, to jasne, że potrzebuje nie tylko dla swojej rodziny, lecz dla kogoś jeszcze. I to od razu się rzuca w oczy, bo on nie ma możliwości, aby trochę kupić w jednym miejscu, trochę w drugim...

Faktycznie pomoc udzielana Żydom na wsi i w miastach to dwa odrębne zagadnienia, mające swoją specyfikę. I choć zgadzam się, że im większa miejscowość, tym

większa anonimowość, co miało dla pomocy ogromne znaczenie, to jednak chciałbym podkreślić, że wedle badań naukowych Żydzi częściej byli ukrywani na wsiach, ponieważ okazywało się to mimo wszystko łatwiejsze niż w mieście. Ponadto osoby narodowości żydowskiej, wiedzione instynktem życia, uciekały na obszar wiejski nie tylko dlatego, by schronić się u Polaków, lecz także, by po prostu starać się przeżyć kolejny dzień. Z czasem tworzyli oni w lasach grupy samoobrony, niekiedy przy wsparciu okolicznej ludności. Przypomnijmy też, że najwięcej polskich Sprawiedliwych pochodziło właśnie z terenów wiejskich. Nie zmienia to faktu, że przechowywanie Żydów na wsi było wielkim wyzwaniem. Relacje sąsiedzkie były ściślejsze. W tamtych czasach ludzie wchodzili do sąsiadów bez pukania do domów, do piwnic. Co więcej, wiejskie dzieci zachodziły do sąsiadów ze zwykłej ciekawości. Mówi się, że na wsiach każdy o każdym prawie wszystko wiedział, i to jest prawda. Jeszcze w moim dzieciństwie tak było. Tym bardziej w czasie okupacji, kiedy musiała panować wielka dyscyplina, aby ukrywać Żydów w obejściu nawet przez kilka tygodni, a co dopiero miesięcy czy dwóch lat. Podkreślmy też, że i na terenach wiejskich, i w miastach kłopotem była żywność. Większość społeczeństwa żyła naprawdę biednie. Na wsi bogatszy gospodarze starali się wyżywić rodzinę z tego, co mieli. Chleb wtedy rzadko kupowano, raczej samemu sobie pieczono, przy czym przygotowywanie dodatkowych ilości pożywienia też mogło zwracać uwagę. Ponieważ ukrywanie Żydów w małych społecznościach było niezwykle ryzykowne, dlatego niektórzy szukali takiego rozwiązania, by uwikłać w ratowanie całą społeczność. Znam nawet taki wyjątkowy przykład: że w jednej miejscowości sołtys zaangażował wszystkich w ukrywanie. Był to taki rodzaj szarwarku (przymusowe świadczenie - przyp. red.), że jednego Żyda co kilka dni przejmowała inna rodzina. Żeby nikt nie mógł powiedzieć, że jest czysty i by nie doniósł.

## Ciekawy sposób.

Ale ryzykowny. Jeżeli wieś liczy kilkaset osób, to nawet z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że znajdzie się tam jakiś szaleniec, który, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, doniesie o tym fakcie granatowej policji czy Niemcom.

Redagowałem niegdyś publikację związaną z indeksem Polaków represjonowanych za pomoc Żydom. Poznałem wtedy przypadki, kiedy nawet sami Żydzi nie wytrzymywali w zamknięciu, nie byli w stanie znieść tego, że muszą się ukrywać. Pamiętam przypadek kobiety skłóconej z innymi Żydami: poszła na gestapo, by donieść, że oni są źli dla niej. Była przekonana, że przeżyje. Niemcy rozstrzelali wszystkich ukrywanych i ukrywającą ich rodzinę. Na końcu zabili tę, która doniosła.

Zdarzały się niekiedy przypadki szaleństwa u ukrywających się. Nasilały się choroby psychiczne i pojawiały się nowe. Jak ktoś siedzi w piwnicy bez słońca przez kilkanaście miesięcy, to czego się spodziewać. Zresztą dotyczyły one również tych, którzy ukrywali - ich organizm nie wytrzymywał nieustającego stresu. Ale czy to może dziwić, gdy panuje już powszechna świadomość kary śmierci dla ukrywających i ukrywanych?

Jakie były najczęstsze formy pomocy dla Żydów?

Na wcześniejszym etapie - gettoizacji - przede wszystkim należało znaleźć fałszywą tożsamość. Wtedy jeszcze nie wiadano, że będzie Zagłada. Żydzi mieli znaleźć się w gettach, ale jeszcze nie było wiadomo, że te obszary zostaną zamknięte. Gdy zamurowano dzielnicę, tak jak w Warszawie czy w Krakowie, wtedy Żydzi zaczęli się obawiać, że to może nie być etap końcowy, tylko przejściowy. I już wtedy uchylali się od pobytu w getcie, szukając dla siebie różnych miejsc, by się schronić. Potrzebowali do tego pomocy Polaków, bo musieli zmienić tożsamość. I właśnie wtedy Polskie Państwo Podziemne wytwarzało dla nich spore ilości fałszywych dokumentów.

Kościół też przy tym pomagał, wystawiając fikcyjne metryki chrztu. Organista w parafii Wszystkich Świętych w Warszawie, do której należą, tworzył takie metryki.

Na pewno tak było już w czasie, gdy rozpoczęło się deportowanie z gett do obozów zagłady, choć faktycznie niektórzy księża robili to także i wcześniej. Niezwykle ważną datą dla Żydów Generalnego Gubernatorstwa był marzec 1942 r., gdy przystąpiono do realizacji tego, o

czym zdecydowano w 1941 r., a 20 stycznia 1942 r. doprecyzowano w Wannsee. Tam nie zapadła decyzja o zagładzie Żydów, tylko ustalono, jak zorganizować sprawną machinę mordowania. Dwa miesiące później rozpoczęła się likwidacja gett w Lublinie i Mielcu. Podkreślmy, że Zagładę w Generalnym Gubernatorstwie poprzedziła akcja eksterminacyjna na ziemiach wcielonych do Rzeszy. Tam, jako metoda testowa, zaczęła się już w grudniu 1941 r. Pierwszy obóz zagłady - Kulmhof - rozpoczął działalność właśnie wtedy w Chełmnie nad Nerem. Z kolei na Kresach Zagładę w praktyce rozpoczęły Einsatzgruppen bezpośrednio po 22 czerwca 1941 r.

Wracając do sytuacji w Generalnym Gubernatorstwie, Niemcy przeprowadzali likwidację gett metodycznie, dystrykt po dystrykcie, starostwo po starostwie, planowano jak w zorganizowanym przedsiębiorstwie. Do każdego regionu przydzielony został obóz zagłady. Choć nie da się dokładnie przyporządkować danego obozu do obszaru, bo to się zmieniało, to tak najogólniej tereny zachodnie były obsługiwane przez Kulmhof i Auschwitz, dystrykty krakowski i galicyjski to głównie Bełżec, dystrykt lubelski to Sobibór i Majdanek, będący obozem koncentracyjnym i zagłady zarazem, tereny północne - Treblinka. Ta ostatnia jest największym cmentarzem polskich obywateli w naszych przeszło tysiącletnich dziejach. Niemcy uśmiercili tam co najmniej 800 tys. osób, w tym większość warszawskich Żydów. Z niemieckiego punktu widzenia wszystko szło planowo. Dopiero w 1942 r. niemal wszyscy Żydzi zorientowali się, że zbliżał się ich koniec. Że to nie jakiś wyjazd do pracy lub kolejny etap gettoizacji. Duża część z nich dopiero teraz przestała uważać, że byli potrzebni jako robotnicy. Powszechnie zorientowano się, że jest realizowana Zagłada, co oznaczało, że wszyscy zostali przeznaczeni do likwidacji. Część Żydów i Polaków jednak jeszcze się łudziła, że Niemcy nie mogą zlikwidować takiej rzeszy ludzi. Wydawało im się to zupełnie nieracjonalne, nawet pod względem ekonomicznym. Ale w tej sprawie Niemcy nie byli racjonalni.

To nawet i dziś wydaje się niewyobrażalnym pomysłem...

Każdy mord jest irracjonalny, a tym bardziej Zagłada całego narodu, zwłaszcza że w lutym 1942 r. Niemcy zaczęli powoli przegrywać na Wschodzie. Zatem wtedy

było to bardzo nieracjonalne. Przecież potrzebowali Żydów w zakładach zbrojeniowych, jako siły roboczej. Ale ideologia nazistowska była silniejsza niż twarde realia, które mogły im ułatwić zwycięstwo. Podajmy również inny, niezwiązany z tematyką żydowską przykład. Gdy Niemcy wkroczyli w 1941 r. do Związku Sowieckiego, to w dużej mierze odepchnęli oferty masowo pojawiających się kolaborantów, ponieważ uważali, że sobie sami poradzą z komunizmem i jego zwolennikami. Nie skorzystano z pomysłów nacjonalistycznych, np. takich, żeby stworzyć nowe państwa - nacjonalistyczne - banderowskie czy białoruskie. Zwyciężyła ideologia nienawiści do „gorszej rasy” - czyli do Słowian. W niewielkim tylko stopniu wykorzystano więc wsparcie potencjalnych sprzymierzeńców - a Ukraińcy i przedstawiciele jeszcze innych nacji po doświadczeniach komunizmu często sami się zgłaszali, by kolaborować. W przypadku Żydów zaś nie chciano dalej w takim zakresie jak wcześniej korzystać z taniej siły roboczej, bo ważniejsza była Zagłada, czyli ich całkowite unicestwienie. Niemcy nie byli w tym wszystkim racjonalni.

Wielu Żydów trudniło się krawiectwem - mogli szyć mundury, ubrania dla żołnierzy, a tymczasem zwyciężył pomysł, by mordować.

Wtedy wielu Żydów zdało sobie sprawę, że aby przeżyć, muszą uzyskać pomoc u Polaków. Wtedy właśnie zaczęły się ucieczki z gett na dużą skalę. Likwidowanie gett, o czym już mówiłem, rozpoczęło się na wiosnę 1942 r. W Krakowie zlikwidowano je w marcu 1943 r., wcześniej były częściowe deportacje. W Warszawie zaczęły się one od 22 lipca i wtedy w stolicy - w drugim mieście co do liczby Żydów na świecie, po Nowym Jorku - zorientowano się, że to już jest koniec. Od lipca 1942 r. zaczęło się więc w Warszawie na większą skalę szukanie pomocy u Polaków - u księży katolickich, w różnych instytucjach, a przede wszystkim u osób prywatnych. Jeśli czasem słyszymy, że Polacy tak późno zaczęli Żydom pomagać i że Rada Pomocy Żydom „Żegota” powstała tak późno, to wynika to z braku wiedzy o okupacyjnych realiach. Społeczny Komitet Pomocy Żydom powstał we wrześniu 1942 r., a przekształcił się w państwowy na początku grudnia. To był trzeci rok okupacji, w sierpniu prowadzono akcję ulotkową Zofii Kossak i Wandy Kraheleskiej. Ich protest to wstrząsający dokument, za którym poszedł czyn. Kiedy

organizację uznała Delegatura Rządu na Kraj, to zbudowano strukturę. Została ona znakomicie rozrysowana na wystawie Instytutu Pamięci Narodowej z 2017 r. o „Żegocie”. Widać, ilu ludzi w to włączono i z jak wielu środowisk. Tworzyły je wszystkie siły polityczne niepodległościowego polskiego podziemia (z wyjątkiem narodowców) oraz Żydowskiego Komitetu Narodowego i Bundu. Pomoc, jakiej udzielili Polacy, nie była masowa, ale powszechna już tak - to znaczy, że angażowały się w nią różne osoby w różnych środowiskach. Nawet w środowiskach narodowych też zdarzali się tacy, którzy ratowali, ale najczęściej Żydów ukrywało się u tych, których przed wojną znali i z którymi współpracowali, czyli dosyć często w środowiskach lewicowych. Nieco inaczej było z religijnymi Żydami, bo oni żyli w dość dużej izolacji od świata chrześcijańskiego. Nie mieli tak wielu kontaktów, nie znali środowisk religijnych chrześcijańskich. Mieli znacznie trudniej. Słabo mówili po polsku, a jeśli już, to z akcentem, i w związku z tym byli raczej na straconej pozycji, by ukrywać się „na powierzchni”. Nie może więc dziwić to, jak wspominałem już, że więcej osób uratowało się dzięki pomocy lewicowych środowisk, bo one miały wśród Polaków sporo znajomych. To naturalne, w sytuacji, gdy za pomaganie grozi śmierć. W pierwszej kolejności udzielamy bowiem wsparcia raczej ludziom, których znamy lub osobom z czyjegoś polecenia. Mając rodzinę, bardzo trudno było przyjąć do domu Żyda, którego się nie znało. Wiązało się z ogromnym ryzykiem. Zwłaszcza że perfidni Niemcy przysyłali też Żydów-agentów, którym mówiono, że uratują życie, biorąc udział w takiej czy innej prowokacji. To były sytuacje trudne, zwłaszcza że od października 1941 r. obowiązywała kara śmierci dla każdego Żyda, który opuści getto, oraz dla każdego, kto takiemu Żydowi udzieli pomocy.

Niemcy uznali, że czyn zamierzony traktowany będzie jako dokonany: „Podżegacze i pomocnicy podlegają tej samej karze jak sprawca, czyn usiłowany karany będzie jak czyn dokonany”.

Oznaczało to, że pomoc była skuteczna, a przynajmniej przez Niemców zauważalna, więc należało odstraszyć od niej. W 1942 r. zaostrzono przepisy i nawet incydentalne wsparcie skutkowało również zagrożeniem śmiercią. Można było także stracić życie lub trafić do obozu, jeśli nie zauważyło się, że w sąsiedztwie ukrywani są Żydzi, i nie doniosło się o tym Niemcom. Okupanci w sposobie

upowszechniania terroru byli niesamowicie skuteczni, mieli to dobrze przemyślane. Przykładowo, oprócz głośzonego prawa, którego celem było ograniczenie pomocy, stosowali inne metody odpowiedzialności zbiorowej, np. wyznaczeni zakładników, tzw. dziesiętników lub stróży. Oznaczało to, że w wiosce co dziesięć tygodni wybierano kolejnych dziesięć domów-zakładników i jeżeli w tym czasie w okolicy pojawiła się partyzantka bądź Żydzi, a mieszkańcy nie donieśli o tym, to mężczyźni albo wszyscy mieszkańcy tych domów mieli być rozstrzelani. Zrozumiałe więc, że owym dziesięciu rodzinom bardzo zależało na tym, aby w danym czasie nic się nie działo. Za kolejnych parę tygodni ofiarą tego rozporządzenia mogły paść kolejne osoby i ich rodziny.

Ze zrozumieniem odnosimy się do tego, co robiła żydowska policja w gettach. Podkreślamy, że policjanci starali się uratować swoje życie. Tymczasem Polaków mierzymy inną miarą - jakby w czasie okupacji wcale nie byli zagrożeni.

Polnische Polizei nazywano już podczas wojny powszechnie policją granatową, aby odróżnić ją od przedwojennej Policji Państwowej. Od grudnia 1939 r. przymusowo, pod karą śmierci, wcielano do niej funkcjonariuszy. Była to więc nowa formacja, która wykonywała niemieckie rozkazy pod taką karą. Często też ci granatowi załatwiali sprawy w polskim gronie. Przykład? Ktoś doniósł, że widział Żyda i zameldował o tym sołtysowi bądź granatowemu policjantowi. Ten mógł oczywiście przymknąć na to oko, ale wtedy ryzykował, że na niego doniosą. Mógł donieść o tym żandarmerii niemieckiej, ale wtedy ona przyjeżdżała i likwidowała Żydów i tych, którzy ich ukrywali. I trzecie wyjście - jak się to często opisuje - że Polacy byli okrutni i wredni. Chodzi o sytuacje, gdy rozwiązywano problem we własnym gronie. Działo się tak, że policja granatowa przychodziła i rozstrzeliwała Żydów, na których doniesiono. Potem granatowi meldowali Niemcom, że ich spotkali podczas ucieczki i musieli zabić. W ten sposób ratowali siebie lub życie tych Polaków, którzy ukrywali Żydów. Jak ocenić taką sytuację i człowieka, który tak postąpił? Ja się nie podejmuję takiej oceny, bo tu każdy wybór jest szatański, straszny i zbrodniczy.



Myślę, że ciągle nie ma równoprawnego patrzenia na Polaków pod okupacją, choć daleko idziemy ze zrozumieniem dramatycznych sytuacji w gettach. Rozumiemy żydowską policję odstawiającą kontyngenty na rampę; ona wie, że codziennie następnych ludzi wysyła na śmierć, i czasem robi to z nadspodziewaną gorliwością. Komando, które przychodzi likwidować getto warszawskie, widzi, jak sprawnie działa policja żydowska. Uznało, że nie ma tam nic do zrobienia, więc poszło likwidować getto otwockie.

Mimo wszystko ja żydowskiej służby porządkowej w gettach, którą oceniam negatywnie, podobnie zresztą jak czyni to wielu ocalonych Żydów, nie zaliczę do grona współsprawców, tylko do ofiar, które przyczyniły się do śmierci innych ofiar.

Też tak to postrzegam, ale co z oceną policji granatowej?

Choć moja ocena policji granatowej jest także oczywiście zdecydowanie negatywna, to zachęcam, aby w miarę możliwości oceniać każdego z tych policjantów z osobna. Pamiętajmy, że były w tym gronie takie osoby okrutne, które mordowały Żydów i Polaków, ale i takie jak Franciszek Banaś, który został po wojnie uhonorowany medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Co kształtowało stosunek Polaków do Żydów w czasie okupacji? Zwłaszcza po zamknięciu ich w gettach. W pierwszych dniach okupacji mogło być kontinuum postaw z międzywojnia. Moja mama na przykład wspominała - choć trudno mi to ulokować w czasie - straszne rzeczy, jakie na warszawskiej Pradze ludzie widzieli, jak pod karabinami niemieckimi pędzono młodych Żydów, którzy musieli krzyczeć różne hasła, takie jak: „Przez nas, Żydków, jest wojna” czy „Marszałek Śmigły-Rydz nie nauczył nas nic. Przyszedł Hitler złoty i nauczył nas roboty”. Mama bardzo przeżywała tę okropną sytuację, że ci ludzie musieli krzyczeć najgłupsze slogany, bo to był warunek ich przeżycia.

Przed wojną pomiędzy Polakami i Żydami różnie się układało. Byli tacy, którzy z Żydami utrzymywali dobre

relacje, ale były też środowiska antysemickie. To się jednak nijak miało do tego, co się wydarzyło w 1939 r. Przyszła niemiecka okupacja i Polacy stali się świadkami Zagłady; i wtedy te zachowania były bardzo różne. Jedni pomagali, drudzy kolaborowali z Niemcami, bo w każdym narodzie są różni ludzie. Wielu patrzyło ze współczuciem na Żydów. Znamy wiele świadectw osób, które przed wojną Żydów nie lubiły, ale widząc, co się dzieje, powtarzały: „to są przecież ludzie”, „nie wolno tak postępować”. Takie głosy sprzeciwu wobec zbrodni płynęły też z tzw. narodowej strony, mimo że niechęć do Żydów, najczęściej motywowana rywalizacją ekonomiczną, ciągle była tu aktualna. Mordowanie ludzi nie mieściło się w głowie także tym, którzy chcieli przed wojną, by Żydzi opuścili Polskę, i wspierali ich emigrację do Palestyny czy Ameryki. Charakterystyczny jest protest Zofii Kossak, która Żydów jako polskiej mniejszości nie lubiła, ale widziała w nich ludzi i walczyła o godność człowieka. To ona najgłośniej wołała: „Tak nie może być!”. Nawoływała polskie społeczeństwo i świat, aby coś zrobić w tej sprawie, oraz sama pomagała Żydom na dużą skalę w zorganizowany sposób.

Jest też przykład ks. Marcelego Godlewskiego z parafii przy pl. Grzybowskiem w Warszawie, który przed wojną zakładał związki chrześcijańskie i uczył Polaków, jak walczyć o swoje prawa w biznesie. Uczył polskich sklepikarzy, jak rywalizować na rynku, co robić, gdy otwierał się polski sklep, a Żydzi obniżali ceny w swoich. Ale kiedy zaczęło się mordowanie ludzi, to jednak zrobił wszystko, co mógł, by ich ratować. Na plebanii u Wszystkich Świętych dał Żydom dach nad głową, nazywano ich „parafianami”.

Byli księża, którzy z ambon publicznie nawoływali - co wspomina ocalała Stella Zylbersztajn-Tzur - by pomagać Żydom, i przecież tym też ryzykowali, bo prawodawstwo zabraniało takiej pomocy. Jak taka pomoc wyglądała w mniejszych miejscowościach, gdzie społeczności polska i żydowska się nie przenikały?

Część tych ludzi słabo mówiła po polsku.

Jedynym sposobem było wtedy robienie bunkrów w lesie

albo przyjęcie ludzi do domu, bo życie „na powierzchni”, nawet z dobrymi fałszywymi dokumentami, nie było możliwe. Ukrycie ich w jakiejś stodole i zastosowanie zasad zaawansowanej konspiracji i żelaznej konsekwencji obu stron. Jeśli zachowano całkowitą dyskrecję, to tzw. zły wygląd i nieznanostwo języka nie odgrywały roli. Chociaż pod koniec II Rzeczypospolitej niemal wszyscy Żydzi mówili trochę po polsku. Języka uczono w szkole, poza tym potrzebowano go do robienia interesów. Ale oczywiście z rozmowy natychmiast można się było zorientować, że ktoś jest pochodzenia żydowskiego. Ukrywanie się „na powierzchni” zarezerwowane było dla tych, którzy wyglądali „dobrze”, znali język polski i oczywiście bardziej sprzyjało kobietom niż mężczyznom. Ci ostatni byli obrzezani i właśnie w ten sposób Niemcy bardzo często sprawdzali ich pochodzenie.

Skąd się wzięło zjawisko szmalcownictwa i jak było szerokie?

Kanale i zdrajcy są w każdym narodzie. A szmalcownicy to ludzie, którzy chcieli zarobić i szantażowali Żydów, więc byli ogromnym zagrożeniem. Żeby komuś pomóc, uratować go, trzeba długiego działania, trwania, wysiłku. Natomiast szmalcownik w sekundę niszczył cały ten trud. Żądał pieniędzy, a jeśli ich nie dostał, to doniósł. Wystarczył jeden skuteczny szmalcownik i już całą wioskę sparaliżował strach. Zjawisko to niestety nie było incydentalne. Z relacji żydowskich wiemy, że Żydzi często się z tym spotykali. Nie ulega wątpliwości, że szmalcownicy, jak i ci, którzy mordowali, rabując Żydów, to ludzie, którzy byli traktowani z prawdziwym obrzydzeniem nie tylko przez Żydów, ale i przez innych Polaków. Pamiętajmy też, że oprócz szmalcowników działali także agenci niemieccy, którzy donosili. Wiadomo, że sprawcami całej machiny byli Niemcy i bez nich nic takiego by się nie działo. Tyle że była ich ograniczona ilość, więc bez swoich agentów i szmalcowników byliby ślepi. Trudno im było rozpoznać, kto Polak, kto Żyd, a szmalcownik się na tym znał. Państwo Podziemne nie tylko wzywało, by nie wydawać Żydów, ale i penalizowało takie czyny. Nie miało dużych możliwości, żeby to egzekwować. Dlatego choć ich skazywano, to wykonanych wyroków na szmalcowników nie było tak wiele. Trzeba tu wyraźnie podkreślić, że nasze podziemne władze nie kolaborowały z Niemcami - jak to było we Francji. Nie brały udziału w Zagładzie. U nas miarodajne czynniki, czy to w kraju,

czy na emigracji, stały na stanowisku, że Żydzi są obywatelami Polski i należy im pomagać. Kwestią dyskusyjną jest to, w jakim zakresie pomagano i jak skuteczne mogły być to działania, wzięwszy pod uwagę, że Niemcy chcieli zgładzić wszystkich Żydów. Zatem powiedzmy wprost, że szmalcownicy występowali nie tylko przeciwko Żydom i ratującym ich Polakom, ale też w konsekwencji przeciwko linii polskiego rządu, polskiego podziemia. Byli wyrzutkami społeczeństwa, którzy w wolnej Polsce byłiby sądzeni. Komuniści po wojnie też ich potępiali, o ile tylko nie zostali ich agentami.

Zwykli ludzie z marginesu społecznego bywali wykorzystywani przez Polskie Państwo Podziemne. Przedwojenny złodziej mógł się przydać w pracy podziemnej, bo miał pewien spryt potrzebny do oszukania okupantów. Przeciętny człowiek z marginesu nie zostawał szmalcownikiem, więc musiały to być wyjątkowe kanalie...

Szmalcownicy w tak łatwy sposób nie mogli szantażować tych, którzy działali w podziemiu, bo ci ludzie by ich unieszkodliwili. Bali się zemsty. Polacy mieli swoich agentów wśród Niemców i zdarzało się, że takie informacje wychodziły na światło dzienne. A mimo to do dzisiaj zachowały się olbrzymie ilości anonimów, także dotyczących polskiego podziemia. Ponieważ Żydzi według Niemców znajdowali się najniżej w hierarchii społecznej, to łatwo mogli stać się ofiarą tego typu osobników. Pamiętajmy, że Żydzi musieli tezauryzować swój majątek, tj. z reguły mieli go przy sobie, a wtedy dużo łatwiej było ich ograbić. Ukraść im kosztowności, pieniądze czy złoto.

W historii rodziny Ulmów, wydobytej z pamięci lokalnej do ogólnopolskiej, wszystko skupia się jak w soczewce. Jest bezinteresowna pomoc, jest donos i są najgorsze z możliwych konsekwencje dla wszystkich.

I jest także wykonanie wyroku podziemia na człowieku, który, jak wówczas i dzisiaj podejrzewamy, doniósł, czyli całe spektrum w tej historii. Dzięki IPN mogłem tę historię dogłębnie zbadać. Chociaż pochodzę z tej miejscowości i mieszkałem w niej przez pierwsze dziewiętnaście lat swojego życia i mimo że jestem z rodziny Wiktorii Ulmy, z domu Niemczak, która była

siostrą mojej babci i mamą chrzestną mojego taty, to przez lata nie zajmowałem się tym w mojej pracy zawodowej. Dopiero gdy usłyszałem w 2003 r. w kościele, że jest rozważane rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego, nagle poczułem impuls. Zrozumiałem, że jestem z tej miejscowości, jestem krewnym, że pracuję od prawie trzech lat w IPN i że muszę coś w tej sprawie zrobić. Przecież oni poza niewielką notką o Józefie Ulmie, jako takim ciekawym obywatelu Markowej, poza nazwiskiem na wspólnej tablicy poświęconej tym, którzy „zginęli z rąk hitlerowców lub po wojnie z rąk faszystów za utrwalanie władzy ludowej” - nic więcej nie mieli. Były ze dwa zdania w jakiejś książce. Pracowałem wówczas jako ekspert w Komisji Ścigania, czyli historyk współpracujący z prokuratorami. Pomyślałem, że skoro zetknąłem się z tyloma przypadkami osób zamordowanych, które są upamiętnione, mają swoje tablice i pomniki, to może ja też powinienem zrobić coś takiego. Chciałem upamiętnić osoby z mojej wsi za pomocą trwałego głazu i książki. Poszedłem wtedy do szefa oddziału krakowskiego Janusza Kurtyki i powiedziałem mu, że mam w rodzinie taką historię... Że ona co prawda nie dotyczy terenu oddziału krakowskiego, tylko rzeszowskiego, ale zapytałem, czy mogę się nią zająć. Dał mi zielone światło. Wtedy bardzo się w to zaangażowałem, dotarłem do dokumentów, ludzi, materiałów i zdjęć. Ta historia z jednej strony nie jest niezwykła, bo przecież około tysiąca Polaków zginęło za pomoc Żydom. Ale z drugiej strony dramaturgia tego jest straszna, zginęło tyle dzieci... nawet jedno nienarodzone. Niesamowite jest to, że zachowało się tyle materiałów. Tak mnie to wciągnęło, że jestem w tej historii do dzisiaj.

**Czy w Markowej panowało przeświadczenie, że mieliście wśród siebie bohaterów, którzy zginęli...**

Świadomość była powszechna, ale ludzie nie zdawali sobie sprawy, jaki straszny przebieg miały te wypadki. Traktowano to jako coś typowego dla czasów tej okrutnej wojny. Oczywiście rodzina pamiętała, jak to było. Dowiedziałem się o tym, ponieważ lubiłem przeglądać zdjęcia w albumie rodzinnym. Rozpoznawałem na nich osoby, o każdej coś wiedziałem. Ale znajdowała się też grupa zdjęć, na których kompletnie nikogo z widzenia nie znałem. Przez lata one były dla mnie najmniej istotne. Jednak gdy jako kilkuletni chłopak o nie zapytałem, to

usłyszałem, że to są Ulmowie, którzy zostali zamordowani przez Niemców.

## Co udało się ustalić?

Ustalono okoliczności tej zbrodni. Zachowały się akta z procesu Josefa Kokotta, młodego żandarma, który zamordował najwięcej osób. Pochodził ze Śląska Opawskiego, dziś 7 km od polskiej granicy. To ten skrawek niemieckiego Śląska, który po I wojnie światowej został wcielony do Czech. On w 1939 r. zadeklarował się jako Niemiec, choć władał czeskim i trochę polskim. Udało mi się ustalić nazwiska ukrywających się Żydów w Markowej, w tym u Ulmów, oraz imiona niektórych z nich. Potem pracownik Muzeum Ulmów Kamil Kopera ustalił jeszcze imiona czterech Żydów oraz jednej Żydówki. Dziś znamy więc wszystkie imiona i nazwiska Żydów ukrywanych przez Ulmów. Kiedy powstawał pomnik, posługiwaliśmy się jeszcze przydomkiem Szallowie-Goldmanowie, a Szallowie to był przydomek od Saula. Wszystkich mamy zidentyfikowanych. Udało się też dotrzeć do dokumentów mówiących o tym, kto mógł na nich donieść. Z dokumentów polskiego podziemia wynika, że podejrzewano granatowego policjanta Włodzimierza Lesia. W czasie okupacji gorliwie współpracował z Niemcami. Nie przesądzam ostatecznie, że właśnie on doniósł, ale na pewno brał udział w zbrodni. Był w obstawie, pomagał żandarmom. Właśnie on 10 września 1944 r. został rozstrzelany z wyroku Polskiego Państwa Podziemnego. Nie wiemy dokładnie, za które konkretnie czyny, ale na pewno za współpracę z Niemcami. Udało mi się ustalić i poznać przedwojenną społeczność żydowską Markowej, poznałem miejsca, gdzie mieszkali, i ilu ich było - ok. 120. Ustaliłem szczegóły dotyczące dowódcy grupy, która ich zabiła. Dotychczas było tylko wiadomo, że nazywał się Eilert Dieken, bo tak podawał w aktach jego podwładny Kokott. Jakiś historyk napisał, że ten Niemiec zmarł w Niemczech i trudno go było znaleźć. Szukałem go przez wiele lat na różne sposoby, bo w archiwach niewiele się zachowało. Co jakiś czas wpisywałem jego nazwisko w Google i w końcu po kilku latach znalazłem, że w 1953 r. człowiek o takim imieniu i nazwisku brał udział w przetargu na remont posterunku w Esens. Miał takie rzadkie imię. Napisałem w 2011 r. krótki list do niemieckiej policji, że poszukujemy informacji o Eilercie Diekenie, który pełnił służbę w Łańcucie,

i dałem go dyrektorowi Muzeum-Zamku w Łańcucie, które wtedy zaczęło zajmować się budową Muzeum Ulmów. Traf chciał, że list podpisała zastępczyni dyrektora, która ma na nazwisko Ulma. Nie jest krewną Józefa Ulmy, ale identyczne nazwisko bardzo pomogło. Adresaci uznali, że Ulmowie robią sobie rodzinne muzeum. Na Zachodzie jak ktoś jest bogaty, to może sobie zrobić izbę pamięci w domu lub publicznym miejscu. Uznano, że to ten przypadek. Posterunek, gdzie po wojnie pracował Dieken, przesłał nam kilka jego zdjęć w gronie żandarmów z lat pięćdziesiątych. Z jakiegoś jubileuszu - z szampanami w rękach. Udało się go na nich rozpoznać, choć był słabo widoczny. Wielkim zaskoczeniem było to, że półtora roku później napisała do mnie córka Diekena. Okazało się, że funkcjonariusz był w miarę znany, zmarł w 1960 r. Mój list dano córce - informując ją, że ktoś się w Polsce interesuje jej ojcem. Ona napisała taki wstrząsający list, który jest teraz w muzeum. Pisała, że bardzo dobrze, że powstaje Muzeum Ulmów i cieszy się, że będzie tam upamiętniony jej ojciec, bo był bardzo dobrym człowiekiem. „Ku mojej radości wiem, że w wyniku działalności wyświadczył ludziom wiele dobra. Zresztą niczego innego bym się po nim nie spodziewała”. Był tak dobrym ojcem. Cieszyła się, że będzie tam wzmiankowany i w związku z tym przesłała fotografię - z czasów wojny w pełnym umundurowaniu niemieckiej żandarmerii. Chciała, żeby ją zaprosić na otwarcie muzeum. Pojechałem do niej z reżyserem Mariuszem Pilisem, którym tak to wstrząsnęło, że stwierdził, że robi o tym film dokumentalny. Przygotowałem się bardzo dobrze. Miałem wszystkie dokumenty dotyczące Diekena (w języku niemieckim). Nawet te, że Krzyż Żelazny dostał w 1944 r. wczesnym latem. Na początku myślałem, że dostał go za Ulmów, ale okazało się, że wniosek złożono miesiąc wcześniej. Otrzymał go po egzekucji. Chciałem to jej dać. Ale wszedłem do pokoju w domu opieki i zobaczyłem staruszkę. Uznałem, że nie chcę być winny wstrząsu, który mógł doprowadzić do skrócenia jej życia, bo ona przecież nie odpowiada za to, co zrobił jej ojciec. Siadłem i pytałem tylko o to, co pamięta o ojcu. Po wysłuchaniu jej zapytałem, czy chce, abym opowiedział to, co ja wiem. Nie chciała. Powiedziałem więc tylko tyle, że mamy zupełnie inny obraz jego osoby. „Jeśli ma pani w sobie siłę i gotowość, to ja to w kopercie wszystko zostawiam. Nie będę mówił, co tam jest, ale zostawiam to do pani decyzji, bo to są rzeczy trudne, bardzo trudne” - powiedziałem. Zostawiłem jej swoją wizytówkę

i dodałem, że jeśli będzie chciała o tym porozmawiać, to w każdej chwili może zadzwonić. Nic jej o ojcu nie powiedziałem. A ona mi opowiedziała - oprócz tych rzeczy o jego karierze i przebiegu służby - że jak przyjeżdżał na urlop, to mówił, że wszystko, co robił jest tajne i nie rozmawiał z nikim na ten temat.

Czyli taki najprostszy wybieg.

I jeszcze mówił, że się przyjaźnił z Polakami. Ja ją pytałem: z jakimi Polakami się przyjaźnił? Ona na to, że ze sprzedawcami jabłek na rynku w Łąncucie.

Dieken był jakoś szczególnie gorliwy w wypełnianiu obowiązków wynikających ze służby?

Myślę, że to standardowy oficer- -zabójca; jako dowódca uczestniczył tylko w większych akcjach. Ale miał okrutnych podwładnych. Wśród nich najgorliwszy był najmłodszy - Josef Kokott, który gdy zaczynał służbę w Łąncucie w 1941 r., miał niewiele ponad dziewiętnaście lat. Natomiast przy Ulmach okazało się, że Dieken też był bezwzględnym mordercą. Z ustaleń IPN opublikowanych w słowniku Represje za pomoc Żydom wiemy, że na okupowanym Mazowszu zdarzało się nierzadko, że mordowano tylko dorosłych pomagających Żydom albo też tylko tych, którzy byli świadomi niemieckich rozporządzeń, czyli także nastolatków. Oszczędzano niemowlaki i małe dzieci. Natomiast ten oddział zamordował Żydów, a potem Józefa i Wiktorię Ulmów, a później zrobiono zebranie, żeby się naradzić, co zrobić z dziećmi. Dieken zdecydował, że jednak mordują wszystkich. To on wydał rozkaz.

Gdy wkrótce po zbrodni ściągnięto sołtysa do zakopania ciała, ten znając Diekena z ciągłych rekwizycji w Markowej i mając do niego trochę śmiałości, spytał: „Panie komendancie, a po co było mordować też te dzieci, przecież one były niewinne?”. Na co Niemiec uciekł w ironię - a wszystko to jest odnotowane w dokumentach. Odpowiedział: „Żeby gromada nie miała z nimi kłopotu”. Czyli żebyś ty nie miał z nimi kłopotu. Ironicznie w stylu... myśmy to zrobili dla ciebie. Co ciekawe, Dieken nie był nazistą w sensie formalnym.

Skąd to wiadomo?

Napisałem bowiem w 2015 r. pismo do Thomasa de



Maizière, ministra spraw wewnętrznych Niemiec. Opisałem, że badam taką sprawę i proszę, by mi odszukano akta tego żandarma. Tamtejsze MSW dekretoowało to do archiwum i przysłano mi dokumenty. Wyczytałem z nich, że nie był członkiem NSDAP. Natomiast - co ciekawe - wyparł się wiary protestanckiej przed wojną. W kwestionariuszu zaznaczył, że nie chce być chrześcijaninem, a jako powód podał niechęć płacenia podatków kościelnych.

Na temat samej zbrodni udało się wszystko ustalić. Czy odkryto, co powodowało Ulmami, że zgodzili się przyjąć Żydów?

To jest trudne do ustalenia, bo, co zrozumiałe, nie zachowały się jakiegokolwiek pamiętniki, wspomnienia, kroniki. Ulmowie też o tym nie wspominali, więc skazani jesteśmy na poszlaki. To jest pytanie bardziej do postulatora procesu beatyfikacyjnego. Znane jest ich życie przedwojenne, jak byli postrzegani przez ludzi i sposób ich funkcjonowania. Można założyć, że chęć pomocy zagrożonej osobie wynikała z motywów chrześcijańskich. Znalaziono bowiem w ich domu książkę *Dzieje biblijne* z podkreślonymi fragmentami: przypowieścią o miłosiernym Samarytaninie i nauką o miłości bliźniego... Najpewniej to było podstawą ich postępowania. Jako historykowi trudno mi coś więcej powiedzieć.

Jest jeszcze ta jedna okoliczność wskazująca, że Ulmowie nie czerpali korzyści materialnych, nie brali opłat za ratowanie życia, bo znaleziono przecież pudełko z kosztownościami przy jednej z zamordowanych.

Myszę, że ci Żydzi dokładali się do swojego utrzymania, bo to naturalne. Natomiast nie mamy żadnych przesłanek, by twierdzić, że płacili za swój pobyt. Fakt, że pod koniec okupacji ta kobieta miała przy sobie takie precjoza, też wskazuje na to, że pomoc była bezinteresowna. W przeciwnym razie ktoś starałby się to od niej uzyskać. Te kosztowności przejęła żandarmeria.

Dzisiaj są tacy, którzy mówią, że przyjmowanie środków na utrzymanie to już dowód, że to nie była bezinteresowna pomoc.

Tak mogą mówić tylko osoby, które nie znają realiów

okupacji.

Jerzy Koźmiński opowiadał mi, jak w jego rodzinie ukrywano Żydów. Jeden z nich był zegarmistrzem. Znoszono mu skąd tylko się dało zepsute zegarki, bo za każdą naprawę były pieniądze. Koźmińscy ukrywali 23 Żydów, więc potrzeba było wielkich pieniędzy, by ich utrzymać. Stawano na głowie, by zdobyć środki na ich wyżywienie. Pewnie podobnie było w przypadku Ulmów. Jakoś sobie radzono z utrzymaniem, ale sama pomoc była bezinteresowna.

O tym świadczy posiadanie po przez jedną z Żydówek kosztowności po piętnastu miesiącach ukrywania. Z moich badań wynika, że najbardziej prawdopodobne jest, iż do momentu egzekucji Ulmowie ukrywali Żydów właśnie tyle czasu. Od grudnia 1942 do marca 1944 r. Wiemy, że podczas wojny wszyscy żyjący w domu Ulmów utrzymywali się m.in. z garbowania skór.

Czy są jakieś ślady tego, że Ulmowie pomagali też innym Żydom. Czy udało się coś ustalić na ten temat w trakcie badań? Czy w rodzinie były jakieś przekazy?

Brat Józefa Ulmy o tym wiedział, a potem mi to potwierdziły inne osoby, że Józef wcześniej pomagał rodzinie Ryfek (miały taki przydomek: Ryfki). Prawdopodobnie chodzi o rodzinę Tencerów. Józef pomagał im pewnie wtedy, gdy miały ziemiankę poza wsią w zaroślach przy potokach. Zostały wykryte i zamordowane. Musimy pamiętać o tym, że od 1 sierpnia 1942 r. Żydzi nie mieli prawa mieszkać w Markowej. Musieli być albo w getcie w Łańcucie, albo w obozie pracy w Pełkiniach. W różnych miejscach ukrywało się prawie sześćdziesiąt osób, a więc około połowy z tych, którzy mieszkali tam przed wojną. Część uciekła lub została usunięta przez Niemców na Wschód już we wrześniu 1939 r. Do getta zgłosiło się tylko kilkoro markowskich Żydów.

Niemcy z ewidencji ludności takie rzeczy wiedzieli?

No właśnie, i wiedzieli, że trzeba szukać, i zarządzali poszukiwania, obławy, które musieli przeprowadzać

policjanci, zakładnicy i rejonowi strażacy. Mieszkańcy musieli z granatowymi policjantami iść i szukać Żydów. Nie wiadomo, czy chociaż jeden Niemiec był przy tym poszukiwaniu – raczej nie, ale był rozkaz, pod karą śmierci, że trzeba szukać. Znalaziono najprawdopodobniej 25 Żydów. Mniej niż połowę ukrywających się. Trafili oni do aresztu gminnego. Zawiadomiono żandarmerię niemiecką, a wszystko to działo się 13 grudnia 1942 r. Rankiem 14 grudnia przyjechali Niemcy i wszystkich zatrzymanych Żydów zastrzelili. Wtedy już było wiadomo, że nie da się przeżyć w ziemiankach, zresztą pora roku też temu nie sprzyjała. To, co się stało u Ulmów, było elementem tego, co się wydarzyło po tych przeczesywaniach. Tych 25 Żydów zostało straconych, ale reszta nadal dostawała schronienie w domach chłopskich. Wszyscy przeżyli oprócz tej ósemki, która była u Ulmów. Jestem pod ogromnym wrażeniem heroizmu Polaków, którzy ukrywali Żydów po śmierci Ulmów.

Czy nie jest to większy heroizm niż samych Ulmów?

Ulmowie zostali rozstrzelani, a te inne rodziny nie przestraszyły się nawet rozstrzelania. Heroizm przewyciężył lęk.

To jest niezwykle. Bo przecież Ulmowie zostali bezwzględnie zamordowani razem ze wszystkimi dziećmi. Wiemy, że kolejne egzekucje sprawiały, że Polacy nie chcieli ryzykować. Markowa musiała się cieszyć wyjątkowo dobrą opinią, bo przecież tam trafili Żydzi także z zewnątrz, Goldmanowie byli z Łańcuta.

To jest zastanawiające, bo przecież przed wojną ta wieś raczej nie wyróżniała się od innych, sąsiednich relacjami polsko-żydowskimi. I tu przecież też były od 1942 r. łapanki Żydów, które polscy mieszkańcy musieli przeprowadzać na niemiecki rozkaz. Markowa to jednak wieś największa, bardzo spójna (tylko nieliczni jej mieszkańcy nie mieli tu przodków sięgających XIV w.), a znaczna grupa gospodarzy była całkiem majątna i dysponująca rezerwami żywnościowymi. W Markowej ukrywali się Żydzi-sąsiedzi oraz spoza miejscowości. Ale ci ostatni albo byli spokrewnieni z markowskimi, albo pochodzili z niedalekiej okolicy i byli polskim

mieszkańcom wioski dobrze znani.

## Jak udało się Panu ustalić nazwiska pozostałych Żydów ukrywanych w Markowej?

To był efekt moich badań nad rodziną Ulmów. Uznałem, że nie mogę się ograniczyć do opisanie tylko ich historii, ale powinienem zbadać wszystkie inne historie, które zakończyły się pozytywnie, jak i te, w których mieszkańcy nie odegrali tak chwalebnej roli. Zanim się zająłem tymi tematami, to w literaturze, czyli w monografii wsi z 1993 r. była informacja o 13 Żydach, którzy przeżyli okupację, a dzisiaj wiemy, że było ich 21 osób. To jednak dużo więcej niż przed szczegółowymi badaniami. Gdyby każda wieś tak jak Markowa miała swoich badaczy regionalistów, to nie tylko monografie poszczególnych miejscowości, ale i podręczniki do historii Polski przekazywałyby pełniejszą wiedzę, także na temat liczby ratowanych lub uratowanych Żydów. Ze swojego doświadczenia mogę powiedzieć, że jest to często praca detektywa. To zadanie właśnie dla historyków-regionalistów, bo IPN też nie da rady zbadać każdej wsi, a nawet każdego starostwa. Trzeba przyznać, że gdybym nie pochodził z Markowej, to także bym tego nie ustalił, bo po pierwsze nie wszystko by mi powiedziano (część faktów jest możliwa do ustalenia tylko w rozmowie z żyjącymi świadkami), a po drugie nie wiem, czy przeznaczyłbym wiele tygodni dla ustalenia czasem jednego szczegółu. Siłą woli i rzetelnością jednak da się dużo zrobić.

## Jak doszło do powstania Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów?

Po odsłonięciu w 2004 r. pomnika rodziny Ulmów Abraham Segal – jeden z Żydów, którzy przeżyli okupację w Markowej, rozpowszechnił tę historię w Izraelu. A ponieważ Ulmowie posiadali już medal Yad Vashem, to zainteresowało to tour operatorów, którzy zaczęli przywozić tysiące młodych Izraelczyków na grób Ulmów. Ponieważ było ich rocznie ok. 5 tys., a zjeżdżali się falami, niekiedy po osiem-dziesiąt autokarów, więc uznałem, że warto, aby było miejsce, w którym mogliby się zatrzymać i w spokoju poznać historię rodziny Ulmów. Zbiegło się to nie tylko z powstaniem moich książek o Ulmach, lecz także z pracami naukowymi i dokumentacyjnymi Oddziału IPN w Rzeszowie,

a szczególnie prof. Elżbiety Rączy i Igora Witowicza o ratowaniu Żydów w całym województwie, co umożliwiło rozszerzenie tematyki w przyszłej placówce muzealnej. I tak wraz z jednym z radnych Bogdanem Romaniukiem zainteresowaliśmy tym samorząd województwa podkarpackiego, który tę inwestycję za pośrednictwem Muzeum-Zamku w Łańcucie zrealizował i otworzył w 2016 r. Nie powstałoby ono bez Instytutu Pamięci Narodowej, który zapewnił całkowite opracowanie merytoryczne, zwłaszcza wystawy stałej. Stworzenie tego muzeum było jedną z najtrudniejszych spraw w moim życiu. Wziąłem długi urlop bezpłatny w IPN i wyprowadziłem się na wieś na piętnaście miesięcy, by je zrobić. To muzeum dotyczy wszystkich Polaków, którzy to robili. Zarysowujemy tam całą sytuację i relacje polsko-żydowskie. Nie tylko pozytywne, lecz wszystkie. Pokazujemy donosy i te poszukiwania Żydów, które oczywiście się zdarzały, ale przede wszystkim pokazujemy jednak Bohaterów i ratowanie ludzi.

W Markowej jest jeszcze drugie miejsce, w którym również znajdują się pamiątki po ukrywanych i ukrywających.

Muzeum nie posiada autentycznego domu Ulmów (nie dotrwał do naszych czasów), a wielu zwiedzających szczególnie interesowały wygląd i warunki panujące w domostwach, w których Żydów ukrywano. Kierując przez kilkanaście miesięcy Muzeum Ulmów, dowiedziałem się, że jeden z domów, w którym ratowano Żydów, jest przeznaczony do rozbiórki. Przekonałem Towarzystwo Przyjaciół Muzeum do jego zakupu i dzięki zaangażowaniu działaczy tego stowarzyszenia dom Szylarów dołączył do kilkunastu obiektów znajdujących się dotychczas w skansenie. W domu tym gospodarze ocalili siódmkę Weltzów, którzy po wojnie wyjechali do USA, zamieszkali na Brooklynie. Rodzina Szylarów utrzymywała z nimi kontakt jeszcze wiele lat.

Czy podczas badań spotkał Pan rodziny podobne do Ulmów?

Oprócz Ulmów poznałem historię rodziny Baranków. Kiedy zbliżała się okrągła rocznica ich śmierci, pojechałem do Miechowa, do burmistrza, żeby zorganizować upamiętniające ich uroczystości. Zgodził się. Poznałem wówczas członków tej rodziny, która nadal mieszkała w tym miejscu zbrodni. To byli krewni tej

rodziny, bo wszyscy Barankowie (w linii prostej) zostali zamordowani, tak jak Ulmowie. Ktoś mi powiedział, że może mi pokazać miejsce, gdzie zostali zamordowani. Zaprowadził mnie do stodoły, a tam były drzwi, które przetrwały osiemdziesiąt lat. Patrzymy na te drzwi, a na nich są ślady po kulach. Gospodarz powiedział mi, że w miejscach przestrzeleń były kredą narysowane krzyże. Potem dodał, że stodołę wkrótce mają rozebrać, bo się sypie. Odpowiedziałem, że zabiorę te drzwi do muzeum. Dzięki temu więcej osób wie także i o rodzinie Baranków.

Ile jest przypadków zaangażowania całych rodzin, które poniosły represje?

Nie liczyłem tego. Szacuję, że jest około tysiąca Polaków zamordowanych za pomoc Żydom. Oprócz tego są tacy, którzy trafiali do obozów.

Mówi się, że historia Holokaustu została upamiętniona przez wysokiej klasy filmy hollywoodzkie. My na temat Polaków ratujących Żydów mamy głównie produkcje dokumentalne. Czy powstaną filmy fabularne o wielkim zasięgu?

Mam nadzieję, bo to jest historia, która powinna być pokazana. Pewnie powstaną filmy związane z beatyfikacją.

Papież ogłosił, że beatyfikacja Ulmów odbędzie się 10 września 2023 r. i zainteresowanie nimi wzrosło. Markowa, licząca 4100 osób, stała się znana na świecie. Czy ten światowy zasięg historii Ulmów przyczyni się do większego zainteresowania Polakami ratującymi Żydów - często byliśmy sadzani na ławie oskarżonych obok Niemców?

Wynikało to z niewiedzy lub kłamstw, których na temat okupacji niemieckiej w Polsce jest sporo. Ulmowie pokazują represyjność niemieckiej maszyny wobec Polaków. U nas śmierć była karą za wiele czynów. Jest taka nadzieja, że ludzie na całym świecie za pośrednictwem Ulmów poznają też inne historie Polaków ratujących Żydów. To jest także celem powstania muzeum. Mogłem zrobić tylko placówkę upamiętniającą Ulmów, ale pomysł był szerszy. Dlatego ekspozycje w niej

są opisane po polsku, angielsku i po hebrajsku. Mam nadzieję, że to początek prawdziwej opowieści o tym, co się u nas działo w czasie wojny.

\* \* \*

## Ocaleni

Po wydarzeniach z grudnia 1942 r. wielu chłopów w Markowej wbrew niemieckim zakazom nadal dawało schronienie Żydom. Michał i Maria Barowie, mieszkający z dziećmi Stefanią, Janiną, Weroniką, Antoniną i Antonim, ukrywali Chaima i Ruzię Lorbenfeldów oraz ich córkę Pesię. W domu Antoniego i Doroty Szylarów, mieszkających wraz z dziećmi Zofią, Heleną, Eugeniuszem, Franciszkiem i Janiną, od stycznia 1943 r. ukrywało się sześć osób z rodziny Weltzów: Miriam oraz jej dzieci Moniek, Abraham, Reśka i Aron, ponadto żona tego ostatniego Shirley, a po kilku miesiącach dołączył do nich kilkuletni syn Arona i Shirley - Leon.

Józef i Julia Barowie, mieszkający z córką Janiną, ukrywali rodzinę Riesenbachów: Jakuba i Itę oraz ich syna Joska i córki Gienię i Manię. Należy dodać, że przez pierwszych kilka miesięcy Gienia i Mania były ukrywane przez rodzinę Kielarów i dopiero później dołączyły do rodziców i brata. W domu Michała i Katarzyny Cwynarów, wychowujących wnuka Jana, przeżył Żyd używający imienia Władysław (być może był to Mozes Reich, który po wojnie zeznał, że ukrywał się w Markowej).

Jakub Einhorn początkowo ukrywał się na przemian w Husowie i Sieteszy, a także w Markowej, gdzie miał kilka kryjówek. Najpierw korzystał z pomocy Michała i Wiktorii Drewniaków, mieszkających z dziećmi Antonim i Józefem, a także Katarzyny Bar oraz jej syna Franciszka Bara i córki Stefanii Bar (ta ostatnia wychowywała wówczas córkę Helenę). Po śmierci Michała Drewniaka w 1943 r. Jakub Einhorn znalazł nowe schronienie u Jana i Weroniki Przybylaków, mieszkających z dziećmi Bronisławem i Zofią.

Według powojennej relacji Eugenii Einhorn, wdowy po Jakubie, u rodziny Przybylaków ukrywała się także trzyosobowa rodzina żydowska, która była zaprzyjaźniona z Einhornem. Według Weroniki Przybylak, owa trzyosobowa rodzina żydowska to małżeństwo noszące imiona Szmul i Sianga oraz ich córka Pesa. Od lata

1943 r. w gospodarstwie Jana i Heleny Cwynarów, mieszkających z córkami Marią i Czesławą, przebywał i pracował Abraham Segal, który podawał się za Romana Kaliszewskiego. Z korespondencji pochodzącej już z lat pięćdziesiątych XX w. wynika, że pracodawcy po pewnym czasie zdali sobie sprawę z jego żydowskiego pochodzenia i ukrywali to nadal. Było to tym bardziej niebezpieczne, że Cwynar należał w tym czasie do kierownictwa konspiracyjnego ruchu ludowego w powiecie przeworskim.

\* \* \*

Mateusz Szpytma (ur. 1975) – historyk, dr, zastępca prezesa IPN. Autor książek: *Sprawiedliwi i ich świat. Markowa w fotografii Józefa Ulmy* (2007, 2015); *The Risk of Survival. The Rescue of the Jews by the Poles and the Tragic Consequences for the Ulma Family from Markowa* (2009); *ZSL w województwie krakowskim (1949-1956)*. *Geneza - ludzie - działalność* (2013) i in.

Wywiad został opublikowany w „Biuletynie IPN” nr 3/2023

## Pliki do pobrania

[Heroizm przewycięzył lęk. Z Mateuszem Szpytmą, wiceprezesem Instytutu Pamięci Narodowej, rozmawia Jan M. Ruman - „Biuletyn IPN” nr 3/2023 pdf, 2.58 MB](#)



[Następny Strona](#)



Wiktoria Ulma z dziećmi. Od lewej: Władzio, Stasia, trzymająca na rękach Marysię, Franuś (na baranku), Basia i Antoś, jesień 1943 (ze zbiorów krewnych rodziny Ulmów)